

**Waldemar
Bawolek
Bimetal**



Rozdział pierwszy

Ponieważ zatrzymał się w pół drogi i nie ma ochoty choćby w najmniejszym stopniu być zamieszany w jakąkolwiek aferę, zaczął zastanawiać się, jak powinien postąpić, by uniknąć odpowiedzialności. Jedyna myśl, jaka przychodzi mu do głowy, to taka, by schronić się gdzieś, zakamuflować i przeczekać najgorsze chwile. Najlepszą kryjówką byłoby mieszkanie bliskiej mu kobiety, którą przez ostatnie lata rzadko odwiedzał. Nie ma najmniejszego pojęcia, co kobieta, o której przed chwilą pomyślał, zrobi, jak zachowa się, gdy go ujrzy. W pełni zdaje sobie sprawę z tego, że prosząc ją o pomoc, postawi ich oboje w kłopotliwym położeniu. Jednak niebezpieczeństwo, które czyha za rogiem, jest ponad wszelką kurtuazję. Nic to, że pomyśli, by pójść do niej, był w jakiś sposób ukryty – podobnie jak niewidoczne gołym okiem planety wydedukowane przez astronomów. Nie namyślając się dłużej, pospieszył przed siebie, będąc posłuszny powziętej decyzji. Liście, liście, liście, głucho kroki. Na zewnątrz armie zachłanne. Wiatr w zegarze ratusza zaciera chuchrowate ślady. Za plecami ma Wielką Rewolucję Francuską, rewo-

lucję bolszewicką. Przed nim Przyszłość; jej wielkość to chaos, anarchia, wojny domowe, konflikty etniczne. Jak tego uniknąć? Jak się zachować, co w sobie zmienić? Być może wystarczy oddalić się od tego placu, od tego miasta, w którym można było oglądać spektakl grozy z prawdziwą krwią, niekłamany wrzaskami bólu i jękami ludzi oraz samochwalstwem sprawcy.

Szybko schronić się w ramionach bliskiej kobiety. Przed siebie, natychmiast, krętymi drogami, by zgubić ślad. Ale najpierw zakupy. Potrzebny jest pojazd, który ułatwi realizację podjętych kroków. Imponująca budowla z betonu, szkła i marmuru stoi z boku, pośród trawników i klombów z kwiatami. Drogę do wejściowego portalu okalają kwitnące krzewy i drzewa z czerwonymi kwiatami. Mężczyźni mniej niż średniego wzrostu w ciemnych, wyblakłych koszulach z poważnymi minami kierują strumienie wody z węzów na trawniki i rabaty. Po lśniącej powierzchni przez automatycznie otwierane drzwi wchodzi się do środka. Wnętrze rozświetlone światłem taksówek, w tych światłach stragany, łopoczą proporce. Na ekranach monitorów śledzić można lecący samolot, który uderza w wieżę Światowego Centrum Handlu. Powyżej ekranów oferta tygodnia: okno dachowe Fakro Termo-plus 78 x 118, Uni-mata 150 mm, świetlówka Mira 17 W, lampki choinkowe 50 W, 100 szt. Należy wykonać kolejny ruch. Nie da się tego uczynić, nie nadepnąwszy na jajko – wówczas słychać chrzęst gniecionej skorupki; cebulę – wówczas rozchodzi się zapach przyprawiający o łzy. Jeden z kierowców, ten najgrubszy, z cukrzycą, rzucił mu pod nogi przez uchyloną szybę taksówki banknot o najwyższym nominale. Po czym jak młody lew wyszedł z samochodu. Ma na sobie nienagannie dopasowany dres, głowę osadzoną

głęboko w ramionach. Mocno czarne wąsy opadają po obu stronach ust aż po brodę. Niedawno kobieta, z którą sypia, zaraziła go grzybicą. Wobec tej przypadłości niewielką rolę odgrywa dla niego to, co miało zasadniczy wpływ na kształt świata: komunizm i faszyzm, wojny światowe, Holocaust i Gułag. Jasnym, przejrzystym głosem zażądał towaru za całą kwotę.

- No, jazda! - ponaglił klienta.

Lecz i źródło oddasz każdemu o czasie. Nie oglądając się na taksówkarza, ruchomymi schodami, wraz z ludźmi - z których jedni polują na okazję i zawsze kupują tańsze modele, a drudzy wybierają produkty o wyższej jakości - wjechał na pierwsze piętro. Poczul zapach świeżego pieczywa. Przy wolnej muzyce kupujący niespiesznie poruszają się między półkami. Gdzie nie spojrzeć, na ekranach ten sam samolot wbija się w drapacz chmur. Dookoła żadnej obsługi, w dziale z rowerami także nikogo. Na okrągłym stole leży kilka okrągłych żelaznych rur z dolutowanym masywnym uchwytem, trzy ciężkie młoty i dwie siekiery o długich trzonkach. Obok stoi wyeksponowany najnowszy model kolarzówki. Podeszedł do roweru i uniósł go delikatnie. Zachwycony jego lekkością odciągnął podnózek, wsiadł na rower i - nie zważając na zainteresowanych - ruszył przed siebie. Specjalnym ciągiem rowerowym pomknął w dół. Wszystko płynie gdzieś obok. W momencie, gdy opuszczał budynek, samolot na ekranie, nie wiadomo który to już raz, uderzył w wieżę. Znalazł się na mrocznych, sennych ulicach pełnych nieobecności. O zmierzchu ścieżki prowadzą donikąd. Jadąc w kierunku Przylasku, zastanawiał się, czy jego rodzinny dom ciągle stoi w tym samym miejscu, w którym stał, kiedy opuszczał go przed laty. Pragnieniem jego jest spotkać w nim brata, który po-

może odzyskać mu bliską kobietę. Ma też nadzieję spotkać tam anioła, bez którego i diabła próżno szukać. Znalazł się na skrzyżowaniu, lecz nie zdążył przejechać, gdyż zatrzymał go kolor skojarzony z niebezpieczeństwem, gwałtem i krwią. Jednak, gdy tylko zapaliło się zielone światło, nacisnął na pedały z nadzieją i spokojem. Czym prędzej pożegnać zgiełk. Skręcił w prawo. Musi odzyskać rosnącą i podniecającą bliskość, oddać się w posiadanie drugiej osobie, najbliższej. Dotknąć jej, odnaleźć przyjemność. Z poprzyklejanych na słupach telegraficznych listów gończych spoglądają na niego podejrzone twarze. W połowie góry ujrzał wiatrak z wielkimi, czarnymi skrzydłami. Ktoś obok postawił stracha na wróble, by ptaki nie niszczyły trawy, świeżo zasianej na z trudem zwiezionej ziemi ogrodowej. Mijał place budowy i pojedynczo rozsiane, murowane domy. Tu i ówdzie otoczone kwitnącymi krzewami, które podlewają mężczyźni niskiego wzrostu, ubrani w spłowiałe ciemne koszule i wypchane, połatane spodnie. Niektórzy pozdrawiają go, jadącego bezustannie, błędzącego trwale. Wyobraźnia nie nadąża. Bezdroża migoczą tajemną mocą bezpowrotu. Pędzi na oślep, mijając skwery, które kiedyś były bitewnymi polami, miejscami zaprzysiężeń i powierzenia tajemnic, polowań na szczury i na dziewczyny. Mknie przez podwórka, na których lepiło się bałwany, wymieniało znaczki na guziki, guziki na szklane rurki do strzelania ryżem, a rurki na gumowe wentyle, z których robiło się proce. Dobrą procę można było wymienić na serię trójkątnych znaczków z Borneo, Jawy, Sumatry, Celebesu i Nowej Gwinei albo Nowej Kaledonii. I mijał place, które kiedyś były scenami operowymi, salami koncertowymi, w których grali skrzypkowie, akordeoniści i fleciści. Przejeżdżał przez podwórza, które kiedyś stawały się cyrkiem pod gołym nie-

bem, z prawdziwymi błaznami, żonglerami, czarodziejami, akrobatami, połykaczami ognia i z dziewczynką z gumy, która na rozpostartym na betonie dywaniku robiła mostek, a potem jej ręce wędrowały pomiędzy rozstawionymi nogami i mogłeś zobaczyć jej uśmiechniętą twarz w sąsiedztwie stóp w różowych pantofelkach.

Przez mgły gna i mgławice, przez melancholię i stygmaty. Nie zacumowany, nie zakotwiczony, z wiatrem przewodnikiem, stopa przy pedale, koła rozjeżdżają sekundy, bezpowrotnie. Mknie przez miejsca, w których dawniej pojawiali się druciarze latający dziurawe garnki, szklarze z drewnianymi, pełnymi szklanych tafli nosidłami na plecach, ostrzyciele noży i nożyczek, zbieracze gałganków, sprzedawcy ziemniaków na zimę i maści na odciski. Za miastem, na polach, podróżny uśmiechnął się do sosen, które patrzą wstydliwie na jego ręce. Delikatnie toczy się kształt drogi, której celem są ramiona bliskiej kobiety. Pędząc przed siebie, pragnie dotykać słoje jej skóry, dać jej głos jałowca i smukłość modrzewia, oddechem gładzić brzuch, posadzić między udami mech.

Ach, znaleźć się wreszcie tam, gdzie wszystko jest jasne, przejrzyste, opanowane, zrównoważone, zamknięte, doskonałe, harmonijne. Wiatr smaga miękkim powiewem, chłodzi spoconą twarz. Bure woły kłębią się pod niebem. Ptaki lecą w awangardzie burzy. Wszędzie pełno nieuchwytnego ruchu, drgań, szmerów. Z dala widać jakby blaski, słyhać echa korowodu dźwięków. Dobrze byłoby ulżyć genitaliom i napełnić żołądek. Niedługo powinien znaleźć się w majątku rodziców. Tam też powinien spotkać brata, który powie mu, co i jak.

Dostrzegł namalowaną na drzewie białą strzałkę. Przypomniawszy sobie z dzieciństwa zabawę w podchody. Nie-

bawem na drogowskazie pojawiła się kolejna strzałka. Zatrzymał się. Dwa kroki dalej znalazł skrytkę, w niej zaś kopertę z listem, w którym napisane było, by prawdziwy katolik pamiętał o codziennej modlitwie, o niedzielnej mszy świętej, o częstej, a przynajmniej wielkonoctnej spowiedzi i komunii świętej. I jeszcze napisane było: „Błogosław, Panie, tej drodze i wszystkim na niej wędrowcom”. Schował list do kieszeni. Chwilę później był już w ogrodzie rodzinnego domu. Zobaczył szczekające psy. Każde zwierzę przywiązane żelaznym łańcuchem, każdemu zwisa język, każde pieni się i ślini, ma płomienny ogon, ostre zęby i rozrywa wszystko. Rower oparł o drzewo, zza którego rozpościerał się widok na imponującą budowlę z betonu, szkła i marmuru, stojącą pośród trawników i klombów z kwiatami. Drogę do wejściowego portalu okalają kwitnące krzewy i drzewa z czerwonymi kwiatami. Mężczyźni mniej niż średniego wzrostu w ciemnych, wyblakłych koszulach z poważnymi minami kierują strumienie wody z węzów na trawniki i rabaty. Przez ogromne drzwi, po miękkim brązowym dywanie wszedł do środka. Nikt na niego nie czekał. Nie było tortu wielkości bochna swojskiego chleba, nie było wiosennych kwiatów i jesiennych jabłek w prezencie ani chóralnego *Sto lat* na stojąco. Wnętrze całkowicie wyłożone skórą i miękkimi materiałami, na pokrytym aksamitem podwójnym tapczanie leżał duży, pulchny pies o złowieszczym pysku i szeroko rozstawionych oczach, obdarzony – jak się po chwili okazało – groźnym szczeknięciem. Nad głową usłyszał dzwonek. Nie spodziewał się tego. Pies zerwał się z postania i zaatakował. By uniknąć nieszczęścia, należało sprawnie wskoczyć na stojący pośrodku stół. Pies był tak ogromny, że bez trudu mógł

drzeć nogawki. Na nic zdawały się mocne ciosy butem po łbie. Pies, wspierając się o stół przednimi łapami, warczał i gryzł. Dopiero głos zza ściany – Psina, psina, co tam się dzieje? – uspokoił zwierzę, które ze spuszczoneym łbem powędrowało w kąt. Przybysz zeskoczył ze stołu i ruszył w kierunku pomieszczenia, z którego dochodziły ludzkie głosy. W kuchni dziadek jadł jajecznicę. Towarzyszył mu sąsiad. Jedli bezpośrednio z obrusa, co wydawało się o tyle dziwne, że wokół nie brakowało naczyń, czarnych pereł, zaokrąglonych kości, kolii ze srebra, kości do sporządzania fletów, srebrnych pereł. Dziadek nie poznał wnuka, a może tylko nie zauważył. Zamiast się z nim przywitać, ustami pełnymi jedzenia zacytował słowa: „Chcemy sławić agresywny ruch, gorączkową bezsenność, krok biegacza, salto mortale, cios w twarz i pięść. Chcemy sławić wojnę – jedyną higienę świata – militaryzm, patriotyzm, gest niszczycielski anarchistów, piękne idee, za które się umiera, oraz pogardę dla kobiet”. Sąsiad zawtórował, że powinno chwycić się za kilofy, za młoty i burzyć bez litości szacowne miasta. Zdezorientowany nieco właśnie chciał przyłączyć się do rozmowy, gdy nagle ujrzał schodzącą po schodach babcię. Miała na sobie płaszcz z pięknego angielskiego sukna: z wierzchu wielbłądzia sierść, od spodu materiał w kurzą łapkę. Płaszcz był dwustronny. Pod nią miała dwuczęściową suknię, na przegubie ręki płaski zegarek z białego złota z rzymskimi cyframi, na szyi bardzo kosztowny, gruby złoty łańcuch, wykonany jak tanie, modne ozdoby. Doskonale ułożone fale farbowanych blond włosów chronił miękki filcowy kapelusz. Zszedłszy na dół, zgasła paschał. Powiedziała mu, że brat wyjechał za granicę i będzie z powrotem lada moment. Ledwie co skończyła zdanie, a pod dom zajechał powóz.

Oboje wyszli na dwór. Teraz cizby niewiernej nikt nawet nie ruszy. Stangret wpasowany w nienaganną liberię zatrzymał konie, zeskoczył z kozła, otworzył drzwi powozu i podstawił schodki. Damy, którym zapewne podobają się jego oczy, wysiadają pierwsze, za nimi dżentelmeni. Ci, co chcą być bardziej widoczni, wspinają się na palcach. Odpowiadają sobie w pierwszych ruchach. Milkną psy, więc brat obecny wśród przybyłych dżentelmenów zaprasza gości do siebie. Ignorancja dam nie zna granic.

- Co to za mężczyzna, co za nieznajomy, który nie ma samochodu i rowerem podróżuje, nędzarz jakiś, biedak?

Nadto nie przejmują się obcym.

- Ach, witaj, witaj bracie, co cię do nas sprowadza, opowiadaj.

- Nie chcę wam przeszkadzać, powiedz mi tylko, czy wiesz, gdzie teraz mieszka moja żona?

- Ależ oczywiście, w mieście mieszka.

- Chodź do domu, zjesz coś, odpoczniesz, mam konserwę, ogórki konserwowe, pamiętasz grube pajdy chleba, herbatę „z prądem”, ogień, gitarę i śpiew?

- Pewnie, że pamiętam, jednak muszę uciekać.

Nagle podszedł do nich parobek i powiedział, że utrzymanie w czystości krowich wymion jest ważne, toteż oczyszczenie ich tuż przed każdym dojeniem to konieczność.

- Coś się, panie, w lesie ruszyło, bo słyhać krzyki, jęki, huki jakież, a i opony w rowerze ktoś gościowi po-przerzynał.

- To niemożliwe! - wrzasnął brat. - W moim domu, to niemożliwe! Kto to mógł zrobić? Jak ty teraz pojedziesz do ukochanej? Jestem zmuszony podwieźć cię na stację kolei żelaznej. W dalszą podróż udasz się pociągiem.

- Aż się z mielizn uwolniesz.

Powiedział to i niezwłocznie polecił parobkowi zaprząć dwa konie z bogatym rzędem; klacz o lśniącej sierści z ładnym łbem i zadem, i piękną, jasną kasztankę o niepokojnym oku. Gdy podróżny zajął miejsce w powozie, jego brat zastukał w okienko przysłonięte firanką w ciemną i jasną kratkę i wręczył mu trzewiki – drewniane, lipowe, w hebanowej skrzyneczce perłową masą wysadzanej, by podarował je swojej damie.

I pognął stangret konie, a smagając ich zady batem, ani myślał o rewolucji w dziedzinie transportu i komunikacji oraz osiągnięciach biotechnologii i inżynierii genetycznej. Zjadłszy na śniadanie zmodyfikowanego pomidora i sałatkę z genem szczura, prowadzi konie równo. W kryształe nieba pospiesznie wszystko się odbija. Podróżny spogląda w górę. Jego ręce same składają się do oklasków, gdy widzi, jak stangret obleczony w wielobarwny kostium wśród brzęku dzwoneczków z wyrazem zachwyty w oczach powozi. – Wiśta, wio!

Za zakrętem rozkopana droga. Wójt zdecydował, że w tym roku należy wymienić sieć wodociagową. Koparka wrywa ziemię, prując rów, do którego w głąb niebieskie rury. Z drugiej strony jeszcze ogromniejsze zwały ziemi. Wójt postanowił, iż w tym samym czasie także pomarańczowe rury kanalizacyjne należy pociągnąć. Płacić będą wszyscy, bez wyjątku. Żadnej litości dla tych, którzy fekalia poza gospodarstwa, na łąki kierują, żadnej litości dla tych, którzy wodę już od dawna mają podłączoną. Płacić trzeba. Operacja pełna bilansów, statystyk, wiecznej zmarzliny. Słona zapłata nie ominie Bawołeków, Oleksowiczów, Wrzosów, Piątków, Muszków, Szczerbów i wielu innych rodzin z ulicy Grunwaldzkiej.

Stangret umiejętnie manewruje między rurami wodociągowymi a kanalizacyjnymi. Hałdy ziemi utrudniają jazdę, trzęsie powozem tak, że usiedzieć na miejscu trudno. Pasażer uderzył głową o twardy dach – linoskoczek ponad wybojami. Kolejny zakręt, staw za wsią i prosta droga do miasta. Stangret zatrzymał konie. Wertepy były na tyle uciążliwe, że koło u wozu się oblużowało, a jeden z koni zgubił podkowę. – Gdzieś tu powinna być kuźnia? – Jest. Stangret podszedł do paleniska rozjarzonego rzadkim powietrzem. Kowal jest sam, kuje podkowę. Podniósł wzrok, gdy stangret przesłonił światło i zrobiło się ciemniej, i pozdrowił go, nie przerywając pracy. Pomarszczeni wśród niezbędnych gestów. Stangret obserwował go przez chwilę spokojnie, a potem podszedł i zaczął poruszać miechy. Kowal uśmiechnął się. W tym czasie pasażer wysiadł z powozu i poszedł w kierunku wyznaczonym przez strzałkę wyrytą nożem w korze przydrożnej topoli. Bezsilny wobec własnego życia, wobec otaczającego go świata, obojętny wobec samego siebie, szedł z boczem do niewielkiej doliny, w której pasie się stado. Kolejna strzałka pokazuje na kołek; przywiązana do niego krowa skubie trawę. Wokół gąszcz poszycia, mrówka ciągnąca z wysiłkiem martwą gąsienicę i koperta z listem, w którym można znaleźć takie słowa: „W imię Boga, najbardziej miłościwego i litościwego. Modłę się do Ciebie, Boże, byś odpuścił mi grzechy i pozwolił wysławiać Cię na wszystkie sposoby. Oczyść me serce ze wszystkich ziemskich spraw. Czas zabawy i zepsucia minął. Nadszedł czas sądu”. Podróżny westchnął. Wiatr odpowiedział powiewem. Dookoła ledwo widoczne ścieżki, nienaturalne stopy kamieni. Zwierzęta dające mleko, mięso, skóry do okrycia zimowego mieszkania, także tłuszcz do lamp, kości do budowy sioł. Czas wra-